

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 12-go listopada 1925 r.

Nr. 43

W gościnie.

Oóż to bywa uciechy,
Jak radosne uśmiechy,
Kiedy w śliczny poranek,
Gdy słońeczko świat złości,
Zosia, Jadzia i Janek
Idą razem do ciotci...
A ciotunia kochana
Od samego już rana
Czeka miłych swych gości.
Uściągając ich gotowa,
Pełna tkliwej radości
Dla każdego coś chowa.
Jaś dostanie kalążeczkę,
Zosia nową lalczkę,
Z marcepanu jabłuszka
Mała, grzeczna Jadziunia.
Drżą z radości serduszka,
Jakaż dobra ciotunia!

Prawdziwa odwaga.

— Włocławek! — zawołał konduktor.
Lokomotywa coś głośno zagadała i szereg wagonów zatrzymał się zwolna.
Z okna wagonu drugiej klasy wychyliła się uśmiechnięta twarzyczka.
— Wreszcie! — wybiegł okrzyk weseli.
— Zawołaj tragarza! — odezwał się za dziewczynkę głos grubszy nieco.
I w tej samej chwili stanął obob niej chłopiec wysmukły w mundurze gimnazjalisty.
— Numerowy! — zawołała Zosia — proszę wziąć tę walizkę, worek skórzany i troki.
Posługacz kolejowy wziął w obie ręce wskazane przedmioty.
— Proszę za mną — rzekł.
Niebawem Zosia i brat jej Kazio wydostali się z wagonu i ze ścisku.
— Gdzie mam znieść rzeczy?
— Do powozu, konie na nas czekają — odparł Kazio — jedziemy do Żyżek, do fabryki cukru.
— Jeśli czekają, to za Wisłą, nie wolno już przejeżdżać przez rzekę — odparł tragarz.
— Więc jakże dostaniemy się do domu? — zapytała Zosia.
— Przejdzie panienska Wisłę po lodzie, przechodzić wolno — rzekł tragarz.
Usta dziewczynki drgnęły, blisko była płaczu.
— Boisz się? — zapytał ją Kazio.
— Boję odparła szczerze.
— Wstydką się głośno mówić o tem, żeś choć — rzekł z niezadowolaniem.
— Nie ma się czego bać, panienko — odezwał się posługacz. Codziennie więcej niż po sto ludzi rzekę przechodzi.

— Jesteście? Już myślałem, żeście nie przyjechali — odezwał się naraz tuż przy dzieciach głos wesoly.

— Tatusi! — wykrzyknęła Zosia i zwróciła się z wyciągniętymi ramionami do przybysza.

Był to rzeczywiście pan Liwski, ojciec młodych podróżników.

— Podobno trzeba będzie Wisłę pieszo przebyć — odezwał się Kazio, całując ojca w rękę na powitanie.

— Lecz tylko do połowy, od połowy łodzią pojedziemy — odparł pan Liwski przywozłem ze sobą Franka, aby nam pomógł rzeczy przenieść; Jan po drugiej stronie koni i powozu strzeże... Otóż i Franek — dodał.

W tej samej chwili przystąpił do nich chłopiec kilkunastoletni, w kożuchu baranin, powitał dzieci uśmiechem i odebrał od tragarza rzeczy.

Pan Liwski zapłacił posługacza kolejowego.

— Szczęśliwej drogi życzę państwu — rzekł zadowolony z zapłaty.

— Dziękujemy!.. — odparły dzieci i podążyły do Wisły.

Pan Liwski kazał odebrać Kaziowi z rąk Franka worek skórzany.

— Dość będzie miał walizki — rzekł — na lodzie ślisko, nie można go obarczać zbyt ciężko.

— Tatusiu, ja mam w worku łyżwy, przypaszę je, gdy wejde na rzekę — odezwała się Zosia.

— Puścimy się na wyścigi do łódki i ja wiozęm swoje do worka — dodał Kazio.

Lecz pan Liwski zmarszczył brwi.

— Przejście nie zupełnie jest bezpieczne, trzeba być rozsądnym — odparł.

— Ja się tam nie boję — rzekł z dumą Kazio.

— Nie zawsze śmiałość odwagą nazwać można, gdy z rozsądkiem nie idzie w parze, zasługuje na nazwę lekkomyślności, a nawet zuchwalstwa — odpowiedział pan Liwski.

Mówiąc to, ujął Zosię za rękę.

— Pójdiesz ze mną — dodał stanowczym tonem.

Zbliżyli się właśnie do miejsca, w którym spora gromadka osób gotowała się do przeprawy przez rzekę; Zosia spostrzegła, iż wszyscy się przeżegnali, pan Liwski uczynił toż samo. Pasta wesolość upuściła dziewczynkę: spoważniała raptem i była spokojną.

— Przecież tatuś jest przy mnie i przeszedł szczęśliwie Wisłę, idąc po nas — myślała.

Przeżegnała się wszakże, poczem weszła odważnie na lód.

I poczęli iść wszyscy razem parami, lub po trzy osób, posuwali się zwolna, uważnie, w milczeniu oczyszczonym, tylko wrzaskliwa wrona, które wzdłuż rzeki laciła czarną chmurą nad głowami podróżnych, mały kiedyś niekiedy tę ciemną chmurę młodzieniaszek, który jednakże poślizgnął się na lodzie, śmiał się głośno.

nieprzyzwyczajcie, a czasami straszyl podroznym niestosownymi uwagami.

Naprzeciw widać bylo brudno czerwonej barwy wode, w której odbijalo się zachodzące słońce pyzate i krwiste.

— Nie jeden z nas skapie się z pewnością w tej wodzie zanim dostanie się do łódki — mówił ów młodzieniaszek i sam jeden śmiał się ze słów, które w jego mniemaniu były dowcipne.

— Mnie tatuś będzie strzedz, myślała Zosia i szła odważnie ku łódce.

Naraz straszny huk rozległ się na rzece, wrony wrzaały głośnie, poczem rozdzielwszy się na kilka gromad pofrunęły w różne strony.

Podróźni zatrzymali się.

— Co to? — zapytała Zosia.

— Łód pęka, nie lękaj się, dziecino, dojdziemy niebawem do łódki — odparł spokojnie pan Liwski.

— Działają biją na cześć naszą — odezwał się głośno niespokojny młodzieniaszek. — Hura! cześć odważnym podróżnym — dodał, czapkę zrywając z głowy i w górę ją podnosząc.

To rzekłszy posnął się po szklistej powłoce.

— Hura! — wykrzyknął jeszcze głośnie i wkończył do łodzi.

Zachłupotała głośno woda, kry pobliskie poruszyły się i uderzyły ze złowrogim szelestem w siebie.

— Nie wiesz, Franku, kto to jest? — zapytał Kazio.

— Pono syn rządcy Dubik, pana Znatowicza.

— Śmiały jest — rzekł Kazio.

— Phi, co po takiej śmiałości, co bez rozumu! — odparł Franek z pogardą — pan starszy powiedziałby; zachwalac.

Ponowny, głośniejszy jeszcze, huk lodu przejął dreszczem wszystkich; tym rzem Zosia dostrzegła, że brwi ojca ściągnęły się, serduszko jej zabiło silniej. „Kto się w opiekę poda panu swemu! — ktoś z idących zaintonował.

Dziewczynka umiała ten piękny hymn na pamięć, więc zawtórowała po cichu, niebawem inni podróżni śpiewać też poczęli.

Tymczasem słońce zaszło za chmury i mrok osnuł ziemię. Płynąca pomiędzy dwoma taflami lodowymi Wisła miała teraz barwę szarą. Zosia wołała patrzeć obecnie na niebo, bo coraz więcej gwiazdek wybiegało.

Nareszcie dotarli do łodzi, pan Liwski wsiadł pierwszy i zajął środkowe miejsce.

— Nie bierz za wiele osób, zapłacę dróżej, lecz barki nie przeciążaj — rzekł do przewodnika.

— Tę mam duszę i gubić jej przez chciwość nie zechcę — odparł stary — wiem, że przeprawa trudna.

To powiedziawszy odbił od lodu i do przeciwnego brzegu podążył.

Gdybym był między tamtymi, zębami uchwyciłbym się łodzi, a nie zostałbym — mruknął młodzieniaszek, patrząc zuchwale na wszystkich.

— I skąpałbym się w wodzie — ktoś rzekł.

— Bezpieczniej jest nie rozpoczynać sprzeczek — odezwał się pan Liwski.

Umilkli wszyscy i łódź w spokoju dotarła po chwili do przeciwnego brzegu.

— Chwała Bogu! — odezwał po chwili przewodnik — państwo siedzieli cicho, to i prędzej niebezpieczną przeprawę odbyliśmy; bo to czasami albo udają zuchów i głupstwa robią, przewodnik wtedy ogląda się, kry na zgubę jego śpieszącej nie widzi i kra łódź przewraca...

Mówiąc to, przewodnik odparł wiosł o łód, podróżni powstali. Razer... i powstał i Znatowicz.

— Zegnaj, Wi... krzyknął.

Poczem rozpychając starszych, przeskoczył przez ławki i na łód wybiegł, lecz tutaj poślizgnął się i runął jak długi. Ponieważ wypadek nie był niebezpieczny, śmiech serdeczny powitał powstającego, on zaś mruknął coś, zapewne niegrzeczność jaką i oddalił się szybko.

Gdy Zosia znalazła się już w sankach i konie ruszyły, wówczas, zwróciwszy się do ojca, rzekła:

— Ten Znatowicz jest źle wychowany, prawda, tatusiu?

— Został ukarany za swoje niegrzeczne zachowanie się, nie mówimy o nim — odparł pan Liwski.

O godzinie dziesiątej wieczór pani Liwska uściłnęła niespokojnie wyczekiwanych.

— Odważne i rozsądne mamy dzieci, najmniejszego nie miałem z nimi kłopotu przy przeprawie przez Wisłę — rzekł do żony pan Liwski — Kazio zachowywał się poważnie, Zosia nie płakała. Gdy do Włocławka jechałem, przeprowiłem się razem z panią Jańską, jej Henia zachowywała się na łódce niemożliwie i krzyczała w niebogłose: „Boję się!“ Musiałem pomagać wiosłarzowi, gdyż stracił przytomność.

W najbliższą niedzielę kilka osób przyjechało do państwa Liwskich w odwiedzinę. Byli to państwo Suscy z dwoma synami, kolegami Kazia.

Wszyscy weszli do salonika jakoś dziwnie poważni i smutni. Zosia miała wielką ochotę zapytać o przyczynę, ale nie śmiała.

— Wam coś jest, sąsiedzie — rzekł w reszcie pan Liwski, prowadząc pana Suskiego od krzesła — czy macie żmartwienie?

— Konny posłaniec, będący do Znatowicza, spłoszył nam weselność — oparł pan Suski — wyobraźcie sobie, syn jego jedynak utonął.

— Utonął... Kiedy? Gdzie? — wykrzyknęli Zosia i Kazio.

— Przyszła mu ochota jechać dziś koniecznie do Włocławka — zaczął opowiadać pan Suski. — Jak wiecie, lody pękają, kra płynie gęsto, żaden ze starszych przewoźników ważyć się nie chciał; znalazłszy więc młokosa nierozważnego, jak sam, młody Znatowicz wsiadł do łodzi, a chcąc popisać się ze swoją odwagą, popłynął wzdłuż rzeki, pod wodę, „na spotkanie z kra“, jak się podobno wyraził. Zaledwie odpłynął kawałek, olbrzymia kra uderzyła w łódź i rozbiła ją w oka mgnieniu. Biedni obłopcy wołali o ratunek, ale nikt nie odważył się nierozważnym śmalkom pośpieszyć z pomocą.

— Pewną jestem, że państwo Znatowiczowie nie wiedzieli o tej nierozważnej wyprawie syna — odezwała się pani Liwska.

— Nieposłuszeństwo i zuchwalstwo zwykle smutne pociągają za sobą następstwa — dodał pan Liwski.

Zosia i Kazio z przerażeniem słuchali opowiadania pana Suskiego.

Smutny ten wypadek, lubo osobiście nie dotknął nikogo w domu państwa Liwskich, zamącił jednak wszystkim weselność i wieczór cały przeszedł na poważnej rozmowie.

Piosenka górala.

Turnie, nasze turnie,
Hale, nasze hale,
Jakże Pan Bóg piękny
Dał nam świat, górale!
Nasz góral po ziemi
Swej z rozkoszą chodzi,
Chociaż mu pszeniczki
Złocistej nie rodzi.
Ochc nie urodzajna
Chociaż krzemienista,
Jednak tyś nam droga,
Boś ziemia ojczysta!